

XX-lecie lubelskiej Almae Matris

Od „posiedzenia na beczkach” do miasteczka uniwersyteckiego

Przeszła już do historii słynna rozmowa zabiedzonych, w byłe co odzianych, wysłańców Lublina z ambasadorami Harrimanem. Przybyłszy reprezentowali wówczas jeszcze niewielki skrawek wyzwolonej polskiej ziemi. Harriman dysponował darami UNRRA, a znając Polskę z lat międzywojennych, bezbłędnie obliczył, ile też trzeba dać owemu wygłodzonemu skrawkowi kraju odzieży, żywności, leków. Tymczasem lubliniacy sprawili, że ambasador zaniemógł, zgłosili bowiem zapotrzebowanie na wyposażenie dla pracowni nieistniejących jeszcze wówczas uczelni.

Działo się to wszystko jesienią 1944 roku w Moskwie. Zaczęło się zaś nieco wcześniej, w lipcu 1944 r., kiedy rzemieślniczym dysletem przybył do Lublina prof. Raabe, z ambitnymi planami, dotyczącymi założenia w Lublinie wyższej uczelni, planami nie mieszczącymi się w ramach przydzielonego profesorowi w tym celu pokoiu. Mimo to właśnie pokój wydzielony z biblioteki im. Łopacińskiego miał się stać zalążkiem pierwszego uniwersytetu w wolnej Polsce.

Na razie w bibliotece rejestrowali się nadciągający z różnych stron — z wojska i z lasu, z miasteczek i wsi Lubelszczyzny i z ziem radzieckiej — naukowcy i przyszli słuchacze lubelskiej uczelni. Rozpoczęcie działalności dydaktycznej poprzedziło formalności prawne; zanim oficjalny akt proklamował otwarcie Uniwersytetu Lubelskiego, rozpoczęły się już powszechne wykłady uniwersyteckie. Historia głosi, że pomoce naukowe zakupywano za... drożdże; zamiast wynagrodzenia profesorowie otrzymywali bony do słynnej stołówki przy ulicy Spokojnej.

Oficjalne otwarcie uczelni poprzedziło także słynne „posiedzenie na beczkach”, na których ułożono deski, by pomieścić profesorskie grono. Wiatr wpadający poprzez wybite szyby gasił świece i powiewał kocami zasłaniającymi okna (obowiązywało jeszcze wojenne zaciemnienie). Odczytany wówczas fragment Manifestu mówił o bezpłatności nauczania i o odbudowie szkół. Tu chodziło nie o odbudowę, ale o założenie uczelni od nowa!

Trzeba przyznać, że plany owej pierwszej rady uczelnianej szybko skorygowało życie. Oto na przykład przy podliczaniu zgłaszających się kandydatów na słuchaczy okazało się, że ponad 140 posiada już pewne przygotowanie, czy też chce studiować farmację. I mimo że początkowo nie zamierzano organizować wydziału farmaceutycznego — do pierwszych wydziałów uczelni trzeba było dołączyć „pigularstwo”. Wśród około 1000 studentów 1/3 stanowiły kobiety. Przy świecach, w nieopalanonych pomieszczeniach, podczas tej pierwszej trudnej, głodnej zimy lubelskiej, słuchali wykładów przyszli lekarze, przyrodnicy, farmaceutyci, rolnicy. Wykładów nie przerywano nawet w czasie alarmów lotniczych.

Jakże trudno było pierwszej polskiej uczelni o zdobycie sal wykładowych! Wędrowała z miejsca na miejsce — od pokoiów użyczonych przez szkołę chemiczną, czy liceum Batorego, do niewielkiej salki w Izbie Rolniczej. Klinika chorób dziecięcych ulokowała się w żłobku. Szereg specjalności przyjął pod swój dach Państwowy Zakład Higieny.

I oto po trzech latach lubelska uczelnia mogła się wykazać imponującą liczbą 83 zakładów naukowych, 15 klinik, 3 ośrodków rolnych, licznymi pracowniami laboratoryjnymi. Poszczególne wydziały uniwersyteckie stawały się samodzielnymi uczelniami. W ten sposób wydzieliły się Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza. W piątą rocznicę „posiedzenia na beczkach”, położono kamień wę-

gielny pod budowę miasteczka uniwersyteckiego. Na XX-lecie Lublin dysponuje (poza wznowionym po wojnie KUL) Uniwersytetem im. Marii Curie-Skłodowskiej, Akademią Medyczną, Wszechnicą Szkołą Inżynierską, Wyższą Szkołą Rolniczą.

O mieście tym mówi się, że kwitnie w nim bujne życie naukowe. To pewnie, że na uczelniach lubelskich wykładają wybitni uczeni. Cały kraj mówi o sukcesach w zakresie chirurgii oka, osiągnięciach przez prof. dr. Krawicza. Poważnymi osiągnięciami mogą się wykazać otolaryngolodzy, archeolodzy, etnografowie, matematycy i in. Pracą lubelskiego ośrodka, skupiającego kilkuset pracowników naukowych — a wśród nich twórców własnych szkół, członków PAN, autorów wielu dzieł naukowych — żywo interesuje się zagranica.

W ciągu 20 lat lubelskie wyższe uczelnie wypuściły w świat ponad 20 000 absolwentów, wykształciły kilkudziesięciu samodzielnych pracowników nauki, opublikowały tysiące prac naukowych. Wybudowały jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne Miasteczko Akademickie. W tym roku na jego głównym placu stanie pomnik Marii Skłodowskiej-Curie, patronki uniwersytetu.

Na dawnych pustkowiaach, polach i łąkach, stanęły gmachy fizyki, chemii, humanistyki, prawa, ag-

Dokończenie na str. 2

Wzrost gospodarczy warunkują rozmaite czynniki, m. in. podniesienie wydajności pracy, zwiększenie nakładów inwestycyjnych, lepsza organizacja produkcji. Ten ostatni czynnik nabiera szczególnej aktualności i wskazuje na to, że będzie w najbliższych latach decydować o dalszym rozwoju naszej gospodarki.

— Nim wydamy złotówkę

Idzie o to, aby przed wydaniem każdej złotówki na nowe inwestycje, spróbować jak najpełniej wykorzystać już istniejące, zapewnić im jak najdalszą sprawność ekonomiczną i organizacyjną, wydobyć z nich maksimum możliwości. Krótko mówiąc — w pierwszym rzędzie musimy szukać rozwiązań gospodarczych nie drogą wznoszenia nowych rusztowań. Ze jest to możliwe, wykazały szeroko głosy w dyskusji przedzjazdowej oraz wystąpienia uczestników IV Zjazdu. Toteż takie właśnie działania postulują wyraźnie uchwały IV Zjazdu, w których znajdujemy konkretne wskazania kierunków reformy zarządzania przemysłem, nastawienia się na zwiększenie efektów ekonomicznych, jak również zadania w zakresie usprawnienia organizacji, zmian w systemie planowania itp.

Czeka nas więc pięciolatka, w której organizacja pracy grać będzie rolę pierwszorzędą. Ze jest to karta, którą wiele można wygrać, świadczą zarówno, wprawdzie jeszcze nie liczne, nasze własne osiągnięcia w tym zakresie, jak również doświadczenia krajów wysoko rozwiniętych gospodarczo.

Jak dalece organizacja pracy może decydować o efektach gospodarczych? Najwyżej procentującą inwestycją okazała się organizacja w Wielkiej Brytanii, gdzie wzrostowi inwestycji przypisuje się tylko 1/3 przyrostu społecznego. Badania statystyczne w USA udowodniły, że od 1900 roku 3/4 wzrostu produktywności na jedną roboczogodzinę jest wynikiem głównie zmian organizacyjnych i postępu technicznego.

— Pierwsze zmiany i pierwsze efekty

A co możemy powiedzieć o naszych doświadczeniach w tej dziedzinie? Mamy ich wprawdzie jeszcze niewiele, są jednak interesujące ilustracją korzyści osiągniętych drogą

Wiesława Laskowska

Zanim postawimy nowe rusztowania

zmian i usprawnień organizacyjnych. Zmiany te — jak wynika z praktyki — są przy tym potrzebne we wszystkich działach naszej gospodarki, dotyczą wszystkich pionów organizacyjnych i wszelkich branż.

Jedną z form unowocześniania gospodarki, która zaczyna dochodzić do głosu i już przynosi konkretne efekty, jest specjalizacja produkcji. Wprowadzona np. w zakładzie produkcji elementów płytowych okleinowych w Srebrnej Górze, pozwoliła zmniejszyć pracochłonność na jednostkę produkcji z 72 do 24 roboczogodzin na godzinę, obniżyć koszt produkcji z 845 zł do 304 zł oraz zwiększyć zdolność produkcyjną o 20 proc.

Oparty na zasadach specjalizacji, koncentracji i kooperacji produkcji

Z problematyki IV Zjazdu PZPR

eksperyment regionalnego ośrodka meblarskiego w Słupsku dał w 1962 roku o 2 proc. większą produkcję, zmniejszył blisko o połowę ilość asortymentów, utrzymując przy tym zatrudnienie prawie bez zmian, pozwolił zwiększyć średnią płacę o 9,6 procent, obniżyć koszty i podnieść rentowność o 26 proc.

W Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, drogą rekonstrukcji organizacyjno-technicznej w br. osiągnięto tylko w jednym z wydziałów wzrost wydajności o 18 proc., uzyskując kosztem zaledwie pół miliona zł — 8 milionów zł oszczędności inwestycyjnych.

Oblicza się, że realizowany projekt rekonstrukcji przemysłu odzieżowego w woj. wrocławskim, obejmujący przemysł kluczowy, terenowy i spółdzielczy — pozwoli osiągnąć wzrost wydajności pracy o 10,5 procent i wzrost produkcji o 52,8 proc. Wydatki wyniosą przy tym 8 proc. nakładów na nowe inwestycje, jakie byłoby potrzebne, gdybyśmy taki sam

przyrost mocy produkcyjnej chcieli osiągnąć drogą budowy nowych zakładów.

Komasacja przedsiębiorstw budowlanych, która ograniczyła ich ilość o 80, przyniosła w rezultacie wzrost produkcji wykonywanej przeciętnie przez jedno przedsiębiorstwo z 80 milionów do 126 mln. złotych i ponad 30-procentowy wzrost wydajności pracy w grupie robotników produkcji podstawowej.

— Od eksperymentów do codzienności

Takie i tym podobne sukcesy przy- wykłamy do niedawna określać mianem eksperymentów gospodarczych. Dziś zaczyna się już o nich mówić jako o przykładach dobrej roboty. Już to, mają być po prostu efektami codziennego dnia. Zamiast rozbudowywać oddziały pomocnicze i usługowe w każdym przedsiębiorstwie, można przeleć z powodzeniem skoncentrować je w jednym, świadczącym usługi na rzecz innych w danym rejonie. I to niezależnie od ich organizacyjnego podporządkowania. O taką koncentrację „aż się proszą” szczególnie np. usługi remontowe, magazyny, narzędziownię, usługi laboratoryjne, konstruktorskie, czy modelarskie. Mogą być wspólne dla wielu kontrahentów bocznic, drogi, kotłownie.

Obecnie, gdy szczególnie ważne stało się zagadnienie wykorzystania rezerw tkwiących w nie wykorzystanych w pełni możliwościach zakładów — usprawnienia organizacyjne mogą wydatnie podnieść poziom produkcji, często bez konieczności czerpania z funduszy inwestycyjnych. Sprawom organizacji pracy była poświęcona tegoroczna konferencja ekonomistów w Wiśle, na której szczególnie mocno wskazywano możliwości ograniczenia nowych inwestycji — drogą rekonstrukcji już istniejących. Możliwości te w najbliższym pięcioleciu musimy wykorzystać.

Stanisław Hebanowski

TEATRY POLSKI PÓŁNOCNEJ

w chwili wiatów na cześć wspólnego zwycięstwa — weszą w przymierzeńcach przyszłych wrogów. Nie kończące się pasmo kłowań, pastwienie się nad trupem poległego, głowy zabitych na żerdziach, oszalałymi absurdalnym okrucieństwem. Pod koniec mieszają się nawet napisy. Miejsce akcji jest cała Anglia...

Na tym tle rysuje się (wstrząsając przedstawiona przez Dominikę Stecównę) tragedia ambitnej i namiętnej Małgorzaty, kłeska intrygującego Suffolka (dynamiczny Krzysztof Kumor), zadzierzystość i pełna wdzięku prostota Joanny d'Arc (Daniela Makulska). A kiedy finał zdaje się zapowiadać pokój i ład obok tronu Edwarda IV stoi Gloucester (przyszyły Ryszard III), którego inteligencję i przewrotność sugestywnie naszkicował Tadeusz Morawski.

I może dlatego, że inscenizatorzy zrezygnowali z momentów refleksyjnych (niektórzy zrymali się, że to bryk z Szekspira), że dla syntezy poświęcili szczegóły — przedstawienie robi ogromne wrażenie.

Również wybitnym przedstawieniem był „Henryk IV” Szekspira (Wybrzeże) w reżyserii Jerzego Golińskiego. (W Toruniu wystawiony na tle ruin Zamku Krzyżackiego).

Brak miejsca nie pozwala mi szerzej go omówić. Nie sposób jednak pominąć roli Tadeusza Gwiazdowskiego. Ten znakomity aktor osnuł błazenady Falstaffa delikatną melancholią, wielki monolog zabarwił sztyrsem.

Ambitne przedstawienie szekspirowskiego „Juliusza Cezara” (Koszalin) w reżyserii Lecha Komarnickiego, mimo pewnych naiwności inscenizacyjnych (sceny zbiorowe) miało kilka mocnych scen. Nie zatarły się ani treść, ani sens dramatu. Natomiast reżyserka Maryna Broniewska zbyt ukameralniła „Makbeta” (Szczecin). Stylizacja, taneczne pozy czarownic i ledwie słyszalny szepot aktorów, utrudniały percepcję. Zespół białostocki nie sprostał trudnościom szekspirowskiej „Burzy” (reż. Jerzy Zegalski). Zaginęła baśniowość, gorycz monologów Prospera — pozostała jedynie bajkowa anegdota.

Wyrównanym przedstawieniem była „Ścieżka zbawienia” Andrade (Toruń) w reżyserii Hugona Mory-

cińskiego i efektownej scenografii Stanisława Bąkowskiego z dobrymi rolami Grażyny Korsakow i Janiny Mrzaek. Mniej udał się Toruniowi „Rok 1944” Kuśmierka. Wtopione w tekst fragmenty wierszy Broniewskiego rwały akcję, zabrakło w przedstawieniu dramatycznego napięcia.

Olsztynowi natomiast powiodła się współpraca z autorem Zdzisławem Wróblem. Reżyser Z. Wojdan dał klarowny spektakl „Braci”, a publiczność żywo reagowała na dobrze punktowane przez aktorów sceny. Gładkim przedstawieniem była satyryczna sztuka radziecka Ala i Rakowa „Uwaga: durnie!”.

Niestety, słaba scenografia psuła wrażenie obu przedstawień. Teatr Ziemi Pomorskiej z Grudziądza pokazał „Balik gospodarski” Zabłockiego i „Białą zarazę” Capeka (reż. Aleksander Gassowski). Były to spektakle opracowane sumiennie, świadczące o poważnym wysiłku teatru.

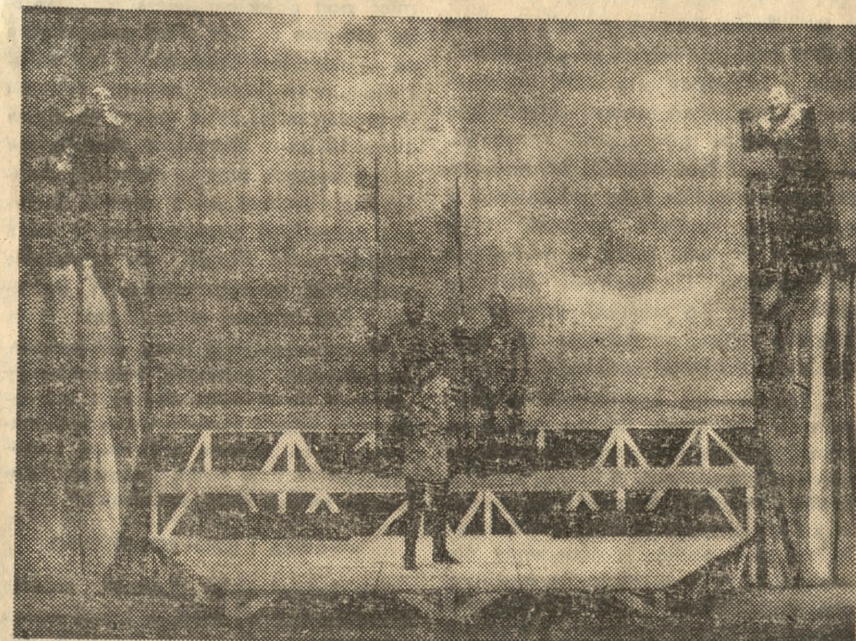
Trochę anemicznie przy „Henryku VI” zaprezentowała się bydgoska „Andorra” Frischa, mimo inte-

resujących roli K. Kumora. Nie wypałem byli „Oskarżeni” Jareckiego i Osieckiej — zwulgaryzowani niewybrednymi gierkami.

Znakomitym przedstawieniem była adaptacja powieści Hemingway'a „Komu bije dzwon” (Róża Ostrowska i Jerzy Goliński). Goliński, jako reżyser, stworzył widowisko konsekwentne, o dużej sile dramatycznej, świetnie przy tym skonstruowane. Wielki monolog Pilar skonstruował ścisłymi replikami Marii — (rolę Pilar grała Bogusława Czosnowska, wykazując doskonałą technikę i ekspresję) — miłosną scenę Marii i Jordana wyprowadził na proscenium. Trzymająca się za rękę parą zobiektywizowała sentymentalny dialog, podając go z wyjątkową dyskrecją. Obok Marii Głowickiej (Maria) i Stanisława Michalika (Jordan) wyróżnił się również w tym przedstawieniu Tadeusz Gwiazdowski. Wewnętrzne ciepło i wzruszająca prostota promieniowały z jego postaci Anzelm. Ciekawą scenografią zaprojektowała Jadwiga Pożakowska.

Muzyka Krzysztofa Pendereckiego do „Komu bije dzwon” i Edwarda Pałlasza do „Henryka VI” współgrała sugestywnie z założeniami inscenizatorów.

Sądzę, że właśnie tych dwóch spektakli widzowie toruńscy nie zapomną.



Scena z festiwalowego spektaklu „Król Henryk VI” Williama Szekspira w reżyserii Tadeusza Aleksandrowicza i scenografii Zofii Wierchowicz. Fot. — St. Dutkiewicz

Rezerwaty tandety i starzyzny

„Jesteśmy przeciwni tandecie i szmirze, nierz jeszcze obecnej, zwłaszcza w działalności kulturalno-rozrywkowej. Socjalistyczna kultura masowa, wolna od skomercjalizowania, które cechuje kulturę burżuazyjną powinna w swych zróżnicowanych formach reprezentować sobą wysokie wartości ideowe i artystyczne, a zarazem być dostępną dla milionów odbiorców.”

[z Tez na IV Zjazd Partii].

Przeciwnik niebezpieczny, nie od razu rozpoznawalny. Przenika wszędzie. Stroi się w szaty teatralne, wchodzi między ramy obrazów, pojawia się na estradzie i na szklanym ekranie telewizora. Najczęściej spotykamy go jednak w oknie sklepowym, a wkrótce potem w czymś mieszkaniu. Szmira ma mnóstwo wcieleni, postaci. Ma tę przewagę nad sztuką, że jest łatwa, apeluje do sentymentów, wiąże się z wdziękami tematycznymi. Zaspokaja jakąś tam potrzebę piękna — w sposób banalnie łatwy, powszechny i — tym groźniejszy. Narodziła się w kapitalizmie, ojcem jej były pieniądze.

Rodowód szmiry

Historia sztuki zakłada, że szmira do XIX wieku nie była znana. Oczywiście i dawniej były złe obrazy i rzeźby, niedobre spektakle teatralne. Nie było jednak środków technicznych, które by je powieliły w nieskończoność. Nie było też dla niej odbiorców. Sztuka miała charakter ekskluzywny, wąskokładowy. Dopiero w XIX wieku szerokie rzesze społeczeństwa zaczęły masowo gnać się do kultury. I wtedy od razu narodziła się ona. Producenti zrozumieli, że może być dobrym interesem, zaczęto w nią inwestować, rosła, zwyciężała. Wystarczy przyjrzeć się jak świetnie dziś prosperuje na Zachodzie. Tworzą ją tam skomercjalizowana prasa brukowa, różnorodne teatrzyki bulwarowo-rewiowe, nierzadko bardzo podejrzanego autoramentu oraz pamiętkarstwo i tandetna plastyka masowa. Wszystko to może być doskonałym interesem jeśli robi się to bez ambicji kształtowania smaku

artystycznego, ot tak dla „miłego grosza”. Szmira może rozwijać się wszędzie, gdzie istnieje nieskrępowana sprzedaż wolnorynkowa, gdzie pieniądź decyduje.

A u nas?

Jedną z cech charakterystycznych naszego ustroju jest, to, że nie chce on robić pieniędzy na kulturze. Odrzucamy podział na sztukę prawdziwą i na tę drugą, zbanalizowaną i seryjną. Nie uznajemy podziału na odrębną kulturę dla wybranych i dla mas. Nasze państwo przeznacza co roku milionowe dotacje na dofinansowywanie teatrów i filharmonii, na rozwój plastyki, a szczególnie jej form użytkowych, na co dzień dostępnych dla wszystkich. Zachęcamy społeczeństwo do obcowania ze sztuką w sposób wzbudzający zazdrość i podziw w krajach zachodnich. A jednak szmira istnieje i u nas, nie w tej oczywiście skali, co tam. Co rodzi u nas szmirę, na jakiej glebie znajduje pożywkę? Zatrzymajmy się przy plastyce. Współczesna szmira ma tu kilka źródeł. Źródło pierwsze: handel prywatny.

Droga towaru od producenta do sklepu jest prosta. Właściciel sklepu kupuje od wytwórcy jakąś karafkę w kształcie niby to pięknej kobiety; z nikim nie musi konsultować jej wartości artystycznych. Liczy na swoisty niewyrobiony gust swego klienta i przeważnie nie spotyka go tu rozczarowanie. Najstraszniejsze wręcz dzieła pseudosztuki, zwyczajnie, po staremu, mają tu prawo do istnienia i popularyzowania. Prywatne sklepiki z zabawkami i pamiętkarstwem są pierwszym i podstawowym źródłem szmiry. Jak długo jeszcze? Drugie źródło jest nieco

uboczne. Część rzemieślników również prowadzi działalność handlową. Właściciel warsztatu szklarskiego robi oczywiście tylko ramy, ale przy okazji sprzedaje je wraz z „dziełami sztuki”, które je wypełniają. I najczęściej są to remanentowe oleodruki poniemieckie lub domorosłe ich kopie krajowe. I tu w zakres „polityki kulturalnej” szklarza nikt nie ingeruje. Nie ma podobno na to żadnej lityry prawa, jedyną formą protestu jest możliwość nie nabycia okazu. Czy rzeczywiście tylko ta forma protestu nam tu pozostaje?

Zapora nie dość mocna

Szanse szmiry w handlu społecznym są już znacznie mniejsze, ale nie beznadziejne. Jak dotąd jedyną, sprawdzoną już, formą walki z tandetą jest działalność komisji, oceniających wzory towarów przed skierowaniem ich do produkcji. W przemyśle kluczowym i przy wszystkich zjednoczeniach wiodących, w tym również przy Centralnym Związku Spółdzielczości Pracy, działają już takie wieloosobowe komisje specjalistyczne, dokonujące często bardzo ostrego osądu przedstawianych modeli i wzorów. Komisje te powstają dopiero od niedawna i jakby żywiłowo. Nie obejmują jeszcze wszystkich branż handlowych, nie wszyscy producenci o nich jeszcze wiedzą; nie zawsze też członkowie komisji cen skierowują ich pod właściwy adres. W niektórych branżach handlowych zatwierdzanie wzorów w ogóle nie jest jeszcze wymagane.

Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy niedawno wszczął starania o utworzenie w Poznaniu kilku specjalistycznych komisji branżowych, dokonujących na miejscu oceny projektów. Podobne postulaty słyszeliśmy ze strony Związku Plastyków, konieczność ich widzą również wydziały handlu. Droga z Poznania do Warszawy jest bowiem dość długa i częstokroć niepotrzebna. Z obawy przed nią wielu drobnych producentów w ogóle nie konsultuje z nikim swych wzorów, jeszcze częściej przeraża ich po prostu zbyt długie czekanie. Utworzenie kilku, czy kilkunastu nawet, komisji branżowych z udziałem plastyków-specjalistów i zobowiązanie Wojewódzkiej Komisji Cen, aby nie przyjmowała w ogóle wzorów niezatwierdzonych przez nie, wydaje się jakimś sposobem wyjścia z sytuacji.

Zapory przed szmirą stawia się jednak tylko w handlu społecznym. A zapory mają już to do siebie, że gdy są tylko częściowe, przestają być w pełni skuteczne. Tuż obok nich nie mało towarów przez nikogo nie weryfikowanych, wartkim strumieniem przepływa nieustannie od rozmaitych producentów i drobnej wytwórczości — do prywatnych sklepów i sklepików. Tworzą się w ten sposób ogromne rezerwaty złego gustu, tandety, staroswieczyny. Czy rzeczywiście muszą one istnieć, czy nie można również ich — poddać ocenie specjalistów, oczyścić z tego wszystkiego co przekornie i złośliwie toczy się przeciwko prądom naszej kultury? Przejawy szmiry nabierają dziś cech zjawiska politycznego. Szmira jest starym, wyświechtanym, ale jeszcze dostrzegającym rekwizytem odchodzących czasów.

Eugeniusz Paukšta

Nowe lektury

Ponury w nadchodzących wieściach świat Południowej Afryki staje się jak-że bardziej wyraźny w swym złym i dobrym poprzez literaturę. PIW opublikował świetną książkę Nadine Gordimer „Świat obcych ludzi” czołowej pisarki Afryki Południowej, rodem spod Johannesburga w osiedlu kopalni złota. Mądra, szlachetna i głęboka to książka o zaangażowaniu, o niemożności wyizolowania się od spraw otaczającego świata. Bohater powieści, młody Anglik, przyjeżdżając do Afryki, nie chce się angażować, nie chce widzieć dyskryminacji jednych ludzi, a niesłusznego wyniesienia innych, nie chce zastanawiać się nad sprawą różnic wynikających z koloru skóry. Ale życie okazuje się silniejsze, nie ma pozycji wyizolowanych. Trzeba się opowiedzieć... Polecam tę powieść, mądrą, pasjonującą w ukazanych dramatach, głęboko humanistyczną i pełną zarazem wiary w zwycięstwo dobra.

W Wydawnictwie Poznańskim dwie nowe, ciekawe pozycje. „Matylda”

Leonharda Franka, to piękna, liryczna w tonacji opowieść o wielkiej miłości. Zarazem utwór reagujący żywo na rzeczywistość współczesnego świata, wpływającą także na losy zwykłej ludzkiej miłości. Frank, antyfaszysta, pisarz na inny sposób, ale nie mniej intensywnie od Tomasza Manna walczący z ponurym światem hitlerizmu, pełen otuchy i wiary w dobro człowieka, pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu, szuka właśnie w miłości dwojga ludzi, miłości, która potrafi łączyć wbrew wszelkim przeszkodom do zjawisk.

Z książką na ty

i potrafi przeszkody te przewyciężać. Ale bez aktywnego zajęcia stanowiska wobec spraw świata nie może też być pełni miłości, to uczucie nie znosi pustki wewnętrznej, każe ludziom objawiać aktywny stosunek do zjawisk.

Zofia Jeżewska relacjonuje tym razem w tomie „W królestwie pierwszego węża” swoje wrażenia z podróży po Meksyku. Miejscami może zbyt drobniogłowo rozdzela, ciekawa jest wszakże ta autentyczna, dobrze podpatrzone relacja podróżnicza. Jak też ciekawy jej komentarz do spraw wewnętrznych kraju, o którym wiemy tak mało. Jeżewska ma dar nawiązywania kontaktów z ludźmi, wyciągania ich na rozmowy, odsłaniania poprzez nie, zjawisk mało znanych albo niedostrzeganych.

Ruchliwe Lubuskie Towarzystwo Kultury wydało Tadeusza Jasińskiego tom opowiadań z dziejów Ziemi Lubuskiej „Dymy wyższe nad dęby”. Typ to książki poszukiwanej, dorzucającej nową cegiełkę do gmachu odrębywanych z pyłu zapomnienia tradycji polskich środkowego Nadodrza. Jasiński umie podpatrywać historię, ciekawie też konstruuje z suchych zapisków kronik żywa opowieść o ludzkich i narodowych przeżyciach. Opowiadania są nierówne w poziomie, w sumie jednak tom jest wartościowy, posiada literackie zalety.

I dwie pozycje MON-owskie. Na sposób zgoła fantastyczny pasjonująca jest powieść pisarza amerykańskiego Antona Myrera „Wielka wojna”. Jest to nader sugestywna wielka panorama wojny na Pacyfiku, widzianej oczyma żołnierzy piechoty morskiej, ścierającej się z Japończykami na tysiącach, porośniętych buszem wyspach.

I druga powieść, znanego dobrze u nas Hansa Hellmutha Kirsta, „Kamraci”, nieomal kryminał, ale z jakim podtekstem. O to dzisiejsza NRF i grupka świetnie żyjących byłych żołnierzy drużyny kaprala Schulza, przed którymi staje nagle jak upiór człowiek, którego wszakże w swoim czasie zamordowali... Mordują i teraz, poprzez strach, poprzez wróconą pamięć tamtych wojennych dni. Kapitałny skrót: oto całe niemal hitlerowskie Niemcy i o to jakże mocno ukazane oblicze współczesnej NRF, w każdym razie poważnej części jej społeczeństwa. Mocna książka.

WALERIA KORYCKA

XX-lecie lubelskiej Almae Matris

Dokończenie ze str. 1

botaniki, biologii, nauki o Ziemi, Domy Profesora, Domy Akademickie — dla paru tysięcy studentów, kluby, stołówki zwane tu tradycyjnie „mensae”, obiekty kulturalne, sportowe. Miasteczko stale się rozrasta, choć budowa trwa już od 15 lat.

Uczelnia Lublina kształcą specjalistów dla kilku województw: własnego — rzęsowskiego — kieleckiego — białostockiego. Ostatnio poszły w teren — idąc śladami dawnej Akademii Zamojskiej, uniwersytet lubelski zorganizował filię w Zamościu. Jej zadaniem jest kształcenie tych, którzy poniosą kulturę i oświatę na wieś.

*

— Musimy nadrobić opóźnienia, toteż pomoce naukowe są nam bardziej od żywności potrzebne — długo i cierpliwie musieli tłumaczyć przed 20 laty zdumionemu Harrimanowi wysłańcy z Lublina.

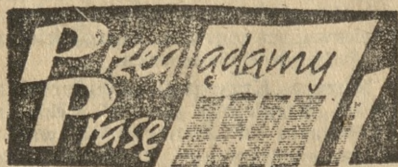
W myśl założeń Manifestu, lubelskie uczelnie stały się dostępne dla ludzi ze wszystkich środowisk. Ale po raz pierwszy w dziejach „Polski B”, do której zaliczano przed wojną Lubelszczyznę, zyskały tu tak szerokie możliwości kształcenia się dzieci chłopskie.

Przed 20 laty wieść o pierwszej w wyzwolonej Polsce uczelni przedostała się przez front na pozostające jeszcze pod hitlerowskimi rządami polskie ziemie. Dziś, z okazji XX-lecia, warto więc przypomnieć o tamtych pierwszych dniach, kiedy w pobliżu frontu, o głodzie i chłódzie, przy braku dachu nad głową, rzucał hasło: „Nam nauka jest bardziej potrzebna niż chleb!”



Odrestaurowane śródmieście w Bolesławcu

CAF — fot. Grzęda



ZARZĄDZANIE — W OCZACH PRZEDSIĘBIORSTWA

W „Życiu Gospodarczym”, Andrzej Bober publikuje artykuł pt. „Samodzielność a inicjatywa” na temat doskonalenia istniejącego systemu planowania i zarządzania gospodarką narodową. Artykuł jest tym bardziej interesujący, że zawiera opinie ludzi pracujących w przedsiębiorstwie, ściślej — w Fabryce Samochodów Ciężarowych Starachowice. Autor, po relacjach dotyczących blasków i cieni zarządzania w FSC, dochodzi do takiej konkluzji:

„...Ekonomiczna efektywność każdego zadania, nim stanie się ono dyrektywą planu, powinna być uprzednio starannie zbadana i porównana z innymi alternatywami. Przykład perypetii z planem postępu technicznego w FSC, jest dla wielu jej pracowników dostatecznym dowodem, że przy sporządzaniu dyrektyw dla przedsiębiorstw w Zjednoczeniu Przemysłu Motoryzacyjnego, nie zawsze podstawą tych prac są ściśle analizy ekonomiczne. Jeden z bezpośrednich skutków bagatelizowania tych spraw:

FSC pracowała cały kwartał bez zatwierdzonego planu postępu technicznego. Obecnie, po IV Zjeździe Partii, sprawy reform systemu planowania i zarządzania nabiorą szybszego biegu.”

AFERY GOSPODARCZE

W tym samym numerze „Życia Gospodarczego” pisze na ten temat Władysław Komorniczak. Co należy rozumieć pod pojęciem „afery” czy „sprawa aferowa”? Czy afery gospodarcze są wynalazkiem ostatnich lat lub wyłącznie „przywilejem” naszego systemu gospodarczego? Jakże zmiany zasły w ciągu 10 lat w charakterze przestępstw gospodarczych oraz w metodach działania aferzystów? Jakże czynniki sprzyjają wzrostowi przestępczości i jakie metody walki stosuje się przeciwko podziemiu gospodarczemu. W związku z tym ostatnim autor pisze:

„Dobra organizacja pracy, oszczędność, gospodarskie spojrzenie, bezpardonowy stosunek do różnych złodziei i marnotrawców mienia społecznego — tych małych i tych dużych, z chodami i stosunkami — dają pełną gwarancję stłumienia każdej afery w zarodku.”

WŁADZA I SPOŁECZEŃSTWO

Tak zatytułowała „Kultura” relację z redakcyjnej dyskusji, w której wzięli udział Roman Bratny, Janusz Wilhelm, Włodzimierz Sokorski, Stanisław Trepczyński, Ryszard Frelek, Janusz Kol-

czyński, Stanisław Bęberek, Józef Chałasiński. Oto fragment wypowiedzi Janusza Wilhelma:

„Demokracja socjalistyczna jest czymś bardzo młodym. W skali historycznej niewiele miała przecież czasu, aby się rozwinąć. Jeśli stosunkowo łatwo jest zaproponować gdziekolwiek, gdzie powstaje nowa demokracja burżuazyjna, już wypróbowany mechanizm działania i kontroli działania, to nasza demokracja, o ileż ze swej istoty pełniejsza, o ileż sprawiedliwsza, musi się dopiero formować. Jest prototypem. I oczywiście, jako prototyp, wymaga ciągłych poprawek i udoskonalenia. Wymaga ciągłych namysłów i dyskusji. Przykładem takiej twórczej dyskusji jest właśnie ta, ogólnonarodowa fala intelektualnego i emocjonalnego ożywienia, która poprzedziła Zjazd naszej partii. Nie utraciliśmy rewolucyjnej wrażliwości i dynamiczności. To najlepsza chyba gwarancja naszego przyszłego, socjalistycznego ustroju.”

ALMA VARIENSIS

To tytuł artykułu Jarosława Markiewicza w „Głosie Nauczycielskim”. Chodzi o olsztyńską Wyższą Szkołę Rolniczą, dla której następny rok akademicki będzie piętnastym rokiem jej istnienia. Powstała w mieście, które awansowało dopiero w Polsce Ludowej, mieście bez tradycji akademickich. Posiada jedynie w kraju wydziały Mleczny i Rybacki. Ma własną drukarnię, z której wychodzą dzieła jej pracowników —

naukowe i popularyzatorskie o wielkim znaczeniu dla olsztyńskiego i krajowego rolnictwa.

„Stopień doktora uzyskało ponad 90 adiunktów i st. asystentów. Stopień docenta — ponad 25 pracowników. Uczelnia ukończyła już 3.970 osób, przechodząc do pracy na różne stanowiska w zakładach naukowych, szkolnictwie, administracji i gospodarce narodowej. Od roku 1960, tj. od czasu pewnego unormowania prac naukowo-badawczych w związku z zakończeniem budowy wielu pracowni, w bardzo szybkim tempie wzrasta dorobek teoretyczno-naukowy uczelni. 142 rozprawy naukowe, 412 referatów, 942 podręczniki, skrypty i prace popularno-naukowe, 360 opracowań dla praktyki, 26 usprawnień technicznych i wreszcie 1.389 artykułów popularno-naukowych.”

NAJWIĘKSZE KARIERY

Zygmunt Szeliga kontynuuje na łamach „Polityki” swoje porównania dwóch dwudziestolecia w przekroju regionalnych osiągnięć w dziedzinie oświaty i kultury. Uwzględniając, że świat nie stoi w miejscu, że postęp odbywa się na całym globie, nasze sukcesy wydają się osiągnięciem trwałym i wartym podkreślenia. Autor ilustruje artykuł mapami przedwojennej i dzisiejszej Polski z podziałem na województwa, z których się dowiadujemy, że: liczba uczniów szkół średnich o-

gólnokształcących oraz szkół zawodowych i artystycznych na 1000 mieszkańców (średnia krajowa) wynosiła przed wojną — 12,8 obecnie — 51, liczba radioabonentów przed wojną — 29, obecnie 184, liczba miejsc w kinach przed wojną — 8,3, obecnie 20,6, liczba lekarzy medycyny na 10.000 mieszkańców przed wojną — 3,7 obecnie — 10,6. Z. Szeliga stwierdza:

„W dwudziestolecie nastąpiło stosunkowo najszybsze i najbardziej wyraźne zatarcie dysproporcji pomiędzy „Polską A”, „Polską B”, „Polską C” w takich właśnie dziedzinach, jak: oświata, kultura, ochrona zdrowia itp. Przed wojną ów podział na różne Polski, manifestował się w tych dziedzinach w sposób bardziej może jaskrawy, wyraźniej odczuwalny przez społeczeństwo niż w dziedzinie czysto ekonomicznej. W dwudziestolecie dawna „Polska B” w tych dziedzinach najbardziej podciągnęła się do góry, zrobiła największą karierę. Co — oczywiście, nie znaczy, że istniejące jeszcze dysproporcje, nie muszą budzić stałej troski. I na dzisiejszych mapach mamy wciąż sporo białych piam. Zwracają one uwagę, że imponujący bilans dwudziestolecia jest równocześnie dopiero początkiem wielkiego procesu rozwoju wszystkich dziedzin życia we wszystkich zakątkach kraju, procesu likwidacji dysproporcji i wyrównania krzywd społecznych.”

LEKTOR